

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JERZY ŻUŁAWSKI

**NA SREBRNYM GLOBIE
RĘKOPIS Z KSIĘŻYCA**

[Kup książkę](#)

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OD AUTORA

Pięćdziesiąt lat blisko upłynęło już od owej podwójnej wyprawy, najszańszej zaiste, jaką kiedykolwiek człowiek przedsięwziął i wykonał - i cała rzecz poszła niemal w zapomnienie, gdy pewnego dnia w jednym z dzienników w K... pojawił się podpisany przez asystenta małego miejscowego obserwatorium artykuł, przypominający wszystko na nowo. Autor artykułu twierdził, że ma w ręku niewątpliwe wiadomości o losie wystrzelonych przed pięćdziesięciu laty na księżyc szaleńców. Rzecz narobiła wiele wrzawy, chociaż początkowo nie brano jej zbyt poważnie. Ci, co słyszeli lub czytali o owym nadzwyczajnym przedsięwzięciu, wiedzieli, że śmiali awanturnicy ponieśli śmierć, ruszali więc teraz ramionami na wieść, że ci, od dawna za umarłych uważani, nie tylko żyją, ale przysyłają nawet wiadomości wprost z księżyca.

Asystent mimo wszystko uporczywie obstawał przy swoim zdaniu i pokazywał ciekawym stożkową, żelazną kulę, czterdzieści centymetrów wysoką, w której miał odnaleźć rękopis na księżycu sporządzony. Misternie odkręcającą się, wewnątrz próżną kulę, pokrytą grubą warstwą rdzy i żużlu. można było oglądać i podziwiać; rękopisu jednakże asystent nikomu nie chciał pokazać. Twierdził, że są to papiery zwęglone, których treść on dopiero odczytuje za pomocą sztucznych zdjęć fotograficznych, robionych z wielkim trudem i największą ostrożnością. Ta tajemniczość wzbudzała podejrzenia, zwłaszcza że asystent do tego czasu nie powiedział, jak doszedł do posiadania kuli; ale zaciekawienie wzrastało ciągle. Czekano z pewnym niedowierzaniem przyrzeczonych wyjaśnień, a tymczasem zaczęto sobie przypominać ze współczesnych pism dzieje całej wyprawy.

I nagle zaczęli się ludzie dziwić, że mogli tak prędko zapomnieć... Wszakże w czasie owej wyprawy nie było pisma codziennego, tygodniowego lub miesięcznego, które by przez parę lat z rzędu nie poczuwało się do obowiązku poświęcenia w każdym numerze kilku szpalt temu wypadkowi, tak niesłychanemu i nieprawdopodobnemu. Przed samą wyprawą pełno było wszędzie sprawozdań ze stanu robót przygotowawczych; opisywano niemal każdą śrubę w „wagonie”, który miał przebyć międzyplanetarne przestrzenie i wysadzić śmiałych szaleńców na powierzchnię księżyca, znaną do tego czasu jedynie ze znakomitych zdjęć fotograficznych, dokonywanych od szeregu lat w „Licke-Observatory” - zajmowano się żywo wszystkimi szczegółami przedsięwzięcia; na naczelnym miejscu umieszczano portrety i życiorysy obszerne podróżników. Wiele wrzawy wywołała wieść o cofnięciu się jednego z nich w ostatniej niemal chwili, bo niespełna na dwa tygodnie przed naznaczonym terminem „odjazdu”. Ci sami, co niedawno jeszcze rzucali gromy na cały „niedorzeczny i awanturniczy” plan wyprawy, a uczestników jej nazywali wprost półgłówkami, zasługującymi jedynie na dożywotnie zamknięcie w szpitalu, oburzali się teraz na „tchórzostwo i odstępstwo” człowieka, co powiedział otwarcie, że się spodziewa mieć grób na ziemi również spokojny, a nierównie późniejszy niż jego niedoszli towarzysze na księżycu. Największe jednak zaciekawienie

wywołała osoba nowego śmiałka, zgłaszającego się na opróżnione miejsce. Przypuszczano powszechnie, że go uczestnicy wyprawy nie przyjmą do swego grona, gdyż czas był już za krótki, aby nowy towarzysz mógł odbyć konieczne przedwstępne ćwiczenia, którym tamci przez kilka lat się oddawali, doszedłszy w końcu do niesłychanych wprost wyników. Opowiadano o nich, że nauczyli się znosić w lekkim odzieniu mróz czterdziestostopniowy i czterdziestostopniowe gorąco, obywać się całymi dniami bez wody i oddychać bez szkody dla zdrowia powietrzem bez porównania rzadszym od atmosfery ziemskiej na wysokich górach. Jakież tedy było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nowy ochotnik, przyjęty, dopełnił liczby „lunatyków”, jak ich nazywano. To tylko sprawozdawców pism doprowadzało do rozpacz, że nie mogli się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym tajemniczym awanturniku. Mimo natarczywe nalegania nie dopuszczał do siebie reporterów, ba! nawet nie przysłał żadnemu dziennikowi fotografii ani nie odpowiadał na listowne zapytania. Inni członkowie wyprawy zachowywali również ściśle milczenie co do jego osoby. Na dwa dni dopiero przed wyruszeniem wyprawy w drogę pojawiła się wiadomość bliższa, choć nieco fantastyczna. Jednemu z dziennikarzy udało się po wielu trudach zobaczyć nowego uczestnika przedsięwzięcia i rozpuścił natychmiast wieść, że to ma być kobieta w przebraniu męskim. Nie bardzo wierzono tej pogłosce, a zresztą nie było już czasu zajmować się nią. Stanowcza chwila nadchodziła. Gorączkowe oczekiwanie zamieniło się po prostu w szal. Okolica nad ujściem Kongo, skąd wyprawa miała „wyruszyć w drogę”, zaroila się od ludzi, przybyłych ze wszystkich części świata.

Fantastyczny pomysł Juliusza Vernego miał być nareszcie urzeczywistnionym - w sto kilkanaście lat po śmierci swego autora.

Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, zionął otwór obszernej gotowej już studni z lanej stali, która miała za kilkanaście godzin wystrzelić na księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmiałkami. Osobna komisja sprawdziła jeszcze raz w pośpiechu wszystkie zawiłe obliczenia; zrobiono raz jeszcze przegląd zapasów i narzędzi: wszystko było w porządku, wszystko było gotowe.

Na drugi dzień na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...

Według niezmiernie ścisłych, i dokładnych obliczeń pocisk miał pod działaniem wybuchowej siły prostopadłego rzutu, przyciągania ziemi i siły rozpędowej, nabytej przez dzienny obrót ziemi dookoła osi, zakreślić w przestworzu olbrzymią parabolę z zachodu na wschód i wszedłszy w oznaczonym punkcie i w oznaczonej godzinie w sferę przyciągania księżyca, spaść prawie pionowo na środek jego tarczy ku nam zwróconej, w okolicy *Sinus Medii*. Bieg pocisku, obserwowany z różnych punktów ziemi przez setki teleskopów, okazał się zupełnie prawidłowym. Dla patrzących pocisk zdawał się cofać na niebie w kierunku od wschodu na zachód, zrazu znacznie wolniej niż słońce, potem coraz szybciej, w miarę jak się od ziemi oddalał. Ten ruch pozorny był wynikiem obrotu ziemi, wobec którego pocisk w tyle pozostawał.

Śledzono go długo, aż wreszcie w pobliżu księżyca już i najsilniejsze teleskopy nie były zdolne go spostrzec. Mimo to łączność między zamkniętymi w pocisku awanturnikami a ziemią nie ustawała jeszcze przez pewien czas ani na chwilę. Podróżnicy obok mnóstwa innych przyrządów zabrali ze sobą znakomity aparat do telegrafii bez drutu, który według obliczeń powinien był funkcjonować nawet na odległość trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, dzielących księżyc od ziemi. Obliczenia atoli zawiodły w tym wypadku; ostatnią depeszę otrzymały stacje astronomiczne z odległości dwustu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Czy to ze względu na niedostateczną siłę prądu wytwarzającego fale, czy też wadliwą budowę przyrządu, telegrafowanie na większą odległość było niemożliwe. Ale ostatnia depesza brzmiała nader zachęcająco: „Wszystko dobrze, nie ma powodu do obaw”. W sześć tygodni wysłano według umowy drugą wyprawę. Tym razem znalazło w pocisku pomieszczenie

dwóch tylko ludzi: wieźli za to ze sobą znacznie większe zapasy żywności i potrzebnych narzędzi. Aparat telegraficzny mieli znacznie silniejszy niżli poprzedni; nie było wątpliwości, że wystarczy do przesyłania wiadomości z księżycą. Atoli z księżycą depeszy już nie otrzymano. Ostatni telegram wysłali już podróżnicy z pobliża celu wyprawy, przed samym spadkiem na księżycową powierzchnię. Wiadomość była nie najpomyślniejsza. Pocisk z niewytłumaczonej przyczyny zboczył nieco z drogi i wskutek tego widocznym było, że spadnie na księżyc nie prostopadle, lecz skośnie, pod kątem dość ostrym. Ponieważ pocisk nie był zbudowany dla takiego spadku, więc podróżnicy obawiali się, czy nie poniosą śmierci przez rozbicie. Widocznie obawy się spełniły, gdyż to była ostatnia depesza.

Wobec tego zaniechano zamierzonych wypraw dalszych. Nie można się było ludzi co do losu nieszczęśliwców; po cóż było powiększać jeszcze bezużyteczne ofiary? Żal jakiś i wstyd ogarnął ludzi. Najwięksi zwolennicy „międzyplanetarnej komunikacji” przycichli teraz, a o wyprawach mówiono i pisano już tylko jako o szaleństwie, będącym wprost zbrodnią. W kilka lat wreszcie cała rzecz poszła w zapomnienie na długi przeciąg czasu.

Przypominał ją dopiero, jak się powiedziało, artykuł nie znanego dotąd, a wkrótce głośnego asystenta w pomniejszym obserwatorium astronomicznym. Odtąd każdy tydzień przynosił coś nowego. Asystent odsłaniał powoli rąbki swej tajemnicy, a chociaż niedowiarków nigdy nie brakło, zaczęto zapatrywać się na rzecz coraz poważniej. Sensacyjna wieść rozeszła się wkrótce po całym cywilizowanym świecie. Wreszcie asystent opowiedział, w jaki sposób doszedł do posiadania cennego rękopisu i jak go odczytał, a nawet pozwolił ludziom fachowym oglądać jego zwęglone szczątki wraz z cudownymi iście odbitkami fotograficznymi.

Otóż, jak się rzecz miała z ową kulą i rękopisem:

„Pewnego dnia po południu - opowiadał asystent - gdy siedziałem zajęty notowaniem codziennych spostrzeżeń meteorologicznych, oznajmił mi służący zakładu, że jakiś młody człowiek chce ze mną mówić. Był to mój kolega i dobry przyjaciel, właściciel wioski nieopodal położonej. Widywałem go rzadko, gdyż choć mieszkał niedaleko, nieczęsto się do miasta wybierał. Zatrzymałem go tedy i uporawszy się co prędzej z robotą, wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie mnie, jak zauważyłem, niecierpliwie oczekiwał. Zaraz po powitaniu oświadczył, że mi przynosi wiadomość, która mię ucieszy niewątpliwie. Wiedział, że od lat zajmuję się z zapalem badaniem meteorów, przyszedł mi tedy powiedzieć, że przed kilku dniami spadł w jego wiosce meteor znacznej, jak się zdaje, wielkości. Kamienia nie znaleziono, gdyż upadł w trzęsawisko i prawdopodobnie zagłębił się znacznie, ale jeśli go chcę mieć, on jest gotów dać mi kilku robotników dla jego wydobywania. Kamień naturalnie chciałem mieć i uwolniwszy się na parę dni z obserwatorium, pojechałem sam na miejsce w celu poszukiwań. Ale mimo niewątpliwych znaków i usilnej pracy nie mogliśmy nic znaleźć. Wydobyto tylko duży kawał obrobionego żelazniwa kształtu kuli armatniej, której obecność w tym miejscu mocno mnie zadziwiła. Zwątpiłem już o pomyślnym wyniku poszukiwań i wydałem właśnie polecenie zaprzestania dalszych robót, gdy przyjaciel zwrócił moją uwagę na ową kulę. Istotnie wyglądała zastanawiająco. Powierzchnia jej była pokryta żużlem, jaki się tworzy na żelaznych meteorach przy rozżarzaniu się ich podczas przejścia przez atmosferę ziemską. Czyżby to ona miała być owym spadłym meteorem?

W tej chwili - nagle - błysnęła mi pierwsza myśl. Przypomniała mi się wyprawa sprzed lat pięćdziesięciu, której historię znałem dosyć dobrze. Dodać muszę, że nie podzielałem nigdy przekonania o bezwzględnej zestracie podróżników mimo beznadziejnej treści ostatniej depeszy, jaką od nich ziemia otrzymała. Za wcześnie było jednak teraz wyjawiać domysły. zabrałem więc tylko kulę i przewiozłem z największą ostrożnością do domu. pewny niemal w duchu, że znajdę w niej cenne wskazówki o tych zaginionych. Z jej niewielkiego względnie ciężaru odgadłem zaraz, że jest wydrążona.

W domu w największej tajemnicy zabrałem się do roboty. Nie łudziłem się ani na chwilę, że jeśli się w niej znajdują jakie papiery, to musiały ulec zwęgleniu podczas rozpalania się

żelaza w ziemskiej atmosferze. Należało zatem otworzyć kulę tak, aby tych przypuszczalnych szczątków nie zniszczyć, a może - myślałem - da się z nich co odcyfrować.

Praca była nadzwyczajnie ciężka, zwłaszcza że nie chciałem brać nikogo do pomocy. Przypuszczenia moje zbyt były niepewne, a nawet - przyznaję - fantastyczne, aby je można było przedwcześnie rozgłosić.

Spostrzegłem, że szczyt kuli stanowi śruba, którą należało odkręcić. Osadziłem więc kulę szczelnie w ciężkim śrubsztaku, aby ją uchronić od wstrząszeń, mogących uszkodzić jej wartość, i zabrałem się do roboty. Śruba była zardzewiała i nie chciała odchodzić. Po długich usiłowaniach nareszcie udało mi się ją poruszyć. Pamiętam, ten pierwszy zgrzyt obracanej śruby przejął mię dreszczem radości i niepokoju zarazem. Musiałem pracę przerwać na chwilę, gdyż trzęsły mi się ręce. Powróciłem do niej po godzinie, z bijącym jeszcze sercem.

Śruba poruszała się z wolna, gdy wtem posłyszałem dziwny świst. Początkowo nie mogłem zrozumieć jego przyczyny. Prawie bezmyślnie poruszyłem śrubą w odwrotnym kierunku i świst ustał prawie natychmiast; zaledwie jednak znów nieco odkręciłem śrubę, dał się zaraz słyszeć, choć był teraz słabszy. Nareszcie pojąłem wszystko! Wnętrze kuli było całkowitą próżnią! Świst pochodził z wdzierania się powietrza do środka szczeliną przez rozluźnienie śruby utworzoną?

Ta okoliczność upewniła mnie w przekonaniu, że jeśli kula zawiera w sobie papiery, to nie będą całkiem zniszczone, gdyż brak powietrza musiał je uchronić od spalenia, gdy kula rozżarzyła się przebywając atmosferę ziemską! W parę chwil przekonałem się o słuszności tych domysłów. Po usunięciu śruby znalazłem w kuli, której wnętrze wyłożone było jeszcze warstwą wypalanej gliny, zwój papierów zwęglonych, ale nie spalonych. Nie śmiałem prawie oddychać z obawy, aby tych cennych dokumentów nie uszkodzić. Wyjąłem je z największą ostrożnością i... popadłem w rozpacz. Na zwęglonym papierze litery były prawie niewidoczne, a ponadto papier był tak kruchy, że się niemal rozsypywał w rękę.

Bądź co bądź, postanowiłem dokonać dzieła i treść rękopisu odczytać. Kilka dni zeszło mi na rozmyślanie, jak się wziąć do tego. Wreszcie uciekłem się do pomocy promieni rentgenowskich. Przypuszczałem - i jak się później okazało - słusznie, że atrament, którego użyto do pisma, zawierał składniki mineralne, a zatem zaczernione nim miejsca będą stawiały większy opór promieniom rentgenowskim niż sam zwęglony papier. Naklejałem tedy ostrożnie każdą kartę rękopisu na cienką błonę, rozpiętą w ramie, i robiłem rentgenowskie zdjęcia fotograficzne. W ten sposób otrzymałem klisze, które po przeniesieniu obrazu na papier dały mi rodzaj palimpsestów, gdzie litery, po obu stronach papieru pisane, łączyły się ze sobą. Było to trudne do odczytania, ale bynajmniej nie niemożliwe.

Za kilka tygodni postąpiłem już tak daleko z odczytywaniem rękopisu, że nie widziałem potrzeby zachowywania dłużej całej rzeczy w tajemnicy. Wtedy to napisałem ów pierwszy artykuł, donoszący o wypadku... Dzisiaj leży przede mną cały rękopis gotowy, odczytany, uporządkowany i przepisany i nie mam zgoła wątpliwości, że został spisany na księżycu ręką jednego z pięciu najpierw wyprawionych podróżników i wysłany z księżyca na ziemię.

Co do reszty - treść rękopisu mówi sama za siebie". Do tego wyjaśnienia, które poprzedziło ogłoszenie tekstu rękopisu, dodał asystent krótką historię samej wyprawy.

Przypominał zatem, że pierwsza myśl wyszła od irlandzkiego astronoma, (O'Tamora, a pierwszym jej zapalonym i nie wątpiącym w urzeczywistnienie zwolennikiem stał się młody, stawny podówczas w Brazylii portugalski inżynier, Piotr Varadol. Ci, pozyskawszy trzeciego towarzysza w Polaku, Janie Koreckim, który im oddał do rozporządzenia całą, dość znaczną fortunę, rozpoczęli zabiegi około urzeczywistnienia jasno już określonego planu. Przede wszystkim tedy przedstawiono szkice projektu akademiom i ciałom naukowym, a następnie wezwano pomocy fachowych powag do opracowania jego szczegółów. Myśl spotkała się z nadspodziewanym uznaniem i obudziła zapał; wkrótce nie była to już sprawa kilku ludzi, lecz

całego cywilizowanego świata, który zapragnął wysłać swych przedstawicieli na księżyc celem dowiedzenia się bliższych szczegółów o tym globie. Na wniosek akademii i astronomicznych instytutów rządy pospieszyły z pomocą pieniężną, a że nie brakło i znacznych ofiar prywatnych, więc wkrótce inicjatorowie mieli do rozporządzenia kapitały, z którymi można było już nie jedno, ale kilka wypraw urządzić. Tak też postanowiono. Jak wiadomo jednak, dwie tylko z tych wypraw doszły do skutku.

Załogę pierwszego pocisku stanowić miało pięciu ludzi, w tej liczbie trzej autorowie projektu; czwartym był Anglik, lekarz Tomasz Woodbell, piątym Niemiec Braun, który wszakże cofnął się w ostatniej chwili. Na miejsce jego zgłosił się nieznajomy ochotnik.

W drugim pocisku zamknęło się dwóch braci, Francuzów, nazwiskiem Remogner.

Po tym krótkim zarysie historycznym asystent w dalszym ciągu memoriału rozwodził się obszernie nad techniczną stroną przedsięwzięcia. Opisał tedy szczegółowo zbudowanie olbrzymiej armaty w kształcie stalowej studni, mówił o budowie pocisku, który po dostaniu się na bezpowietrzną powierzchnię księżyca można było zamienić na hermetycznie zamknięty wóz, poruszany osobnym motorem elektrycznym, opisywał przyrządy ochronne, mające poodróżników zabezpieczyć od zmiążdżenia w chwili wystrzału, a następnie spadku na księżyc, wreszcie wymieniał wszystkie przedmioty, składające się na wewnętrzne urządzenie i zaopatrzenie „przenośnego pokoju”.

Księżyc nie jest światem gościnnym. Astronomowie wiedzą o tym od dawna, chociaż go znają tylko z daleka i -jednostronnie. Mimo niesłychanego udoskonalenia przyrządów optycznych w dwudziestym wieku, księżyc oparł się zwycięzko próbom przybliżenia go do ziemi za ich pomocą na taką odległość, aby można było zbadać wszystkie szczegóły jego powierzchni. Krążąc około ziemi w średniej odległości trzystu ośmdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, wydaje się w szklach o tysiąckrotnym powiększeniu odległym od niej na 384 km, co stanowi jeszcze zawsze pokaźny kawałek drogi. Silniejszych zaś szkieł nie można używać do jego badania, gdyż przy znaczniejszym powiększeniu z powodu za małej przezroczystości atmosfery ziemskiej otrzymuje się obraz tak niewyraźny, że niepodobna poznać na nim nawet gór, w słabszych szklach dokładnie widocznych.

Nadto badaniu dostępna jest tylko jedna półkula księżycowego globu. Księżyc bowiem, odbywając swą drogę naokoło ziemi w dwudziestu siedmiu dniach, czterdziestu trzech minutach i jedenastu sekundach, wykonywa w tym czasie tylko jeden obrót około swej osi, tak że zwrócony jest ku ziemi zawsze tą samą stroną swej powierzchni. Zjawisko to nie jest przypadkowe. Księżyc nie jest dokładną kulą, ale zbliża się kształtem do bardzo mało wydłużonego jaja. Siła przyciągania ziemi sprawia, że jaje owo zwraca się ku niej ostrym końcem i tak krąży, jakby na uwięzi, nie mogąc się odwrócić.

Znana astronomom połowa księżyca wystarczyła jednak, aby go zdyskredytować najzupełniej w opinii ludzi, marzących o zamieszkaniu innych, niż ziemia, światów. Ta powierzchnia naszego satelity, większa co do obszaru dwa razy od Europy, przedstawia się w teleskopach jako bezwodna i pustynna wyżyna, zasiana wprost niezliczoną ilością obrączkowych gór, podobnych z kształtu do olbrzymich kraterów, nierzadko o stukilometrowej średnicy, których brzegi wznoszą się do siedmiu tysięcy metrów ponad okoliczne równiny. W północnej części zwróconej ku nam półkuli ciągnie się szereg obszernych kolistych płaszczyzn, nazywanych przez pierwszych selenografów morzami. Równiny te o stromych brzegach, utworzonych przez niebotyczne łańcuchy górskie, poprzerywane są w różnych kierunkach mnóstwem szczelin, których pochodzenie zawsze zastanawiało astronomów, zwłaszcza że na ziemi nie istnieje nic podobnego. Szczeliny te, nieraz na sto kilkadziesiąt kilometrów długie, a na parę szerokie, dochodzą głębokością do tysiąca metrów i więcej.

Jeśli sobie uprzątniemy jeszcze, że ta powierzchnia pozbawiona jest niemal zupełnie atmosfery, że „dzień” księżycowy, trwający naszych dni czternaście, jest tam latem, podczas którego upał dochodzi do niesłychanego natężenia, a czternastodniowa noc zimą, mroźniejszą

niż nasze zimy podbiegunowe, będziemy mieli obraz kraju, wcale nie zachęcającego do obrania go sobie za „stałe miejsce pobytu”. Tym więcej podziwiać trzeba poświęcenie ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wybrali się na ten glob w tym jedynie celu, aby powiększyć zasób ludzkiej wiedzy nie ulegającymi wątpliwości wiadomościami o najbliższym ziemi ciele niebieskim.

Podróżnicy mieli zresztą zamiar przebyć tylko jak najprędzej tę niegościnną półkulę i dostać się na drugą, od ziemi odwróconą stronę księżycy, gdzie spodziewali się niebezpieczeństw nie znaleźć znośne warunki do życia. Większość piszących o księżycu uczonych twierdzi wprawdzie, że i na tamtej stronie atmosfera jest zbyt rzadka, aby można nią oddychać; wszakże O'Tamor, opierając się na wieloletnich badaniach i obliczeniach, wnosił, że znajdzie tam powietrze o dostatecznej gęstości dla utrzymania życia, a z powietrzem wodę i roślinność, mogącą dostarczyć najlichszego bodaj pożywienia. Ci śmiali ludzie gotowi zresztą byli nawet na śmierć, byle wydrzeć przedtem gwiazdzistemu niebu bodaj jedno z tych jego tajemnic, które tak zazdrośnie ukrywa przed człowiekiem. Odwagę ich podnosiła myśl, że poświęcenie to w żadnym razie nie pozostanie bezowocnym, gdyż będą mogli spostrzeżeń swych udzielić pozostałym na ziemi ludziom przy pomocy wziętego ze sobą telegraficznego aparatu. A nuż - myśleli czasem, upojeni wielkością swego przedsięwzięcia - nuż znajdą na tamtej tajemniczej stronie księżycy raj czarodziejski i dziwny, świat nowy, zgoła odmienny od ziemskiego, a gościnny? Marzyli wtedy o wezwaniu nowych towarzyszy do przebycia owych setek tysięcy kilometrów, o założeniu tam, na tej jasnej, ziemi w cichej nocy świecącej kuli, nowego społeczeństwa, nowej ludzkości, szczęśliwszej... może... Tymczasem trzeba się było liczyć z koniecznością przebycia górzystej, bezpowietrznej i bezwodnej pustynnej wyżyny, zajmującej całą ku ziemi zwróconą półkulę księżycy. Nie było to drobnostką. Obwód księżycy wynosi blisko jedenaście tysięcy kilometrów, gdyby zatem upadli, jak się spodziewali, na środek ku ziemi zwróconej tarczy, mieliby do zrobienia około trzech co najmniej tysięcy kilometrów, nimby się dostali w okolice, gdzie mieli nadzieję móc oddychać i żyć. Pocisk - kształtu wydłużonego, z jednej strony stożkowe zakończonego cylindra - był też odpowiednio urządzony, aby go można zamienić na pewien rodzaj zamkniętego samochodu, i zaopatrzonego obficie w zapasy zgęszczonego powietrza, wody, żywności i paliwa, mogące wystarczyć dla pięciu osób na cały rok, to jest nawet na dłużej, niż potrzeba dla dostania się na odwrotną stronę księżycy.

Oprócz tego wzięli z sobą podróżnicy znaczną liczbę różnych narzędzi, małą biblioteczkę i... sukę z dwojgiem szceniąt.

Była to piękna i wielka angielska wyżlica, należąca do Tomasza Woodbella, którą przed puszczeniem się w drogę ochrzczono zgodnie mianem Seleny.

Te wszystkie rzeczy przypominał szczegółowo memoriał asystenta w K..., mający służyć za objaśnienie do wydanego wkrótce potem rękopisu.

Rękopis sam, spisany po polsku na księżycu przez Jana Koreckiego, uczestnika pierwszej wyprawy, składał się z trzech części, powstałych w różnych czasach, a wiążących się ze sobą w organiczną całość, stanowiącą opowieść o przedziwnych losach i przejściach rozbitka wyrzuconego na ląd zawieszony w błękitie trzysta ośmdziesiąt cztery miliony metrów ponad ziemią.

A oto przedruk dosłowny owego rękopisu według pierwszego wydania, sporządzonego przez asystenta obserwatorium w K...

REKOPISU CZĘŚĆ PIERWSZA

DZIENNIK PODRÓŻY

Mój Boże! jakąż ja datę mam położyć?! Ów wybuch potworny, któremu kazaliśmy się wyrzucić z Ziemi, rozsadził nam rzecz uważaną tam za najtrwalszą ze wszystkiego, co istnieje, rozsadził nam i popsuł czas. W istocie to jest okropne! pomyśleć tylko, że tu, gdzie jesteśmy, nie ma lat, nie ma miesięcy ani dni, naszych krótkich, rozkosznych, ziemskich dni... Zegarek mi mówi, że upłynęło już z górą czterdzieści godzin od chwili, kiedyśmy tu spadli: spadliśmy w nocy, a słońce jeszcze nie wzeszło. Spodziewamy się je ujrzeć dopiero za dwadzieścia kilka godzin. Wzjedzie i pójdzie po niebie leniwie, dwadzieścia dziewięć razy wolniej niż tam, na Ziemi. Trzysta pięćdziesiąt cztery godzin będzie świecić nad naszymi głowami, a potem przyjdzie znowu noc, trwająca trzysta pięćdziesiąt cztery godzin. Po nocy znów dzień, taki sam, jak poprzedni, i znowu noc, i znów dzień - i tak bez końca, bez odmiany, bez pór roku, bez lat, bez miesięcy...

Jeśli dożyjemy...

Siedzimy beczynn timer, zamknięci w naszym pocisku, i czekamy słońca. O! ta straszna tęsknota za słońcem!

Noc wprawdzie jest jasna Jaśniejsza bez porównania od naszych - tam - ziemskich nocy podczas pełni. Olbrzymi półkrąg Ziemi tkwi nad nami nieruchomie w czarnym niebie u zenitu i zalewa białym światłem tę pustkę strasliwą wokół nas... W tym dziwnym świetle jest wszystko takie tajemnicze i martwe... I mróz... Oh! jaki straszny mróz! - Słońca! słońca!

O'Tamor od chwili upadku nie odzyskał jeszcze przytomności. Woodbell, choć sam pokaleczony, nie odstępować go ani na chwilę. Obawia się, że to jest wstrząśnienie mózgu, i bardzo mało robi nadziei. Na Ziemi - powiada - wyleczyłby go. Ale tutaj w tym ohydny mrozie, tu, gdzie za jedyne niemal pożywienie mamy zapas sztucznego białka i cukru, gdzie musimy oszczędzać powietrza i wody... To by było straszne! stracić O'Tamora, właśnie jego, który jest duszą naszej wyprawy!...

Ja, Varadol i Marta, a nawet Selen a z obojgiem szczeni a, jesteśmy zdrowi. Marta zdaje się nic nie wiedzieć i nie czuć. Wodzi tytko oczyma za Woodbellem, zaniepokojona jego ranami. Szczęśliwy Tomasz! Jak go ta kobieta kocha!

Oh! ten mróz! Zdaje się, że nasz pocisk zamknięty zamienia się wraz z nami w bryłę lodu. Pióro wysuwa mi się ze zgrabi ałych palców. O, kiedyż nareszcie wzjedzie słońce!

Tejże nocy w 27 godzin później.

Z O'Tamore m coraz gorzej, nie można się łudzić - to jest już agonia. Tomasz, czuwając nad nim, zapomniał o własnych ranach i sam teraz tak osłabł, że się musiał położyć: Marta zastępuje go przy chorym. Skąd ta kobieta bierze tyle sił? Odkąd się otrząsnęła z pierwszego oszołomienia po spadku, jest najczynniejsza z nas wszystkich. Zdaje mi się, że jeszcze nie spała.

Ach! ten mróz...

Varadol siedzi osowiały i milczący. Na kolanach jego zwinięta w kłębek Selen a. On mówi, że im tak cieplej obojgu. Szczeni a położyliśmy w łóżku obok Tomasza.

Próbowałem spać, ale nie mogę. Mróz mi spać nie daje i to upiorne światło Ziemi nad nami. Już tylko mało co więcej nad pół tarczy jej widać. Znak to, że słońce wzjedzie niebawem. Nie umiemy dokładnie obliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż nie wiemy, w którym punkcie tarczy Księżyca się znajdujemy. O'Tamor byłby to z łatwością obliczył ze stanu gwiazd, ale on leży bezprzytomny. Będzie się musiał Varadol w jego zastępstwie wziąć do tej roboty. Nie wiem, dlaczego z tym zwleka.

Powinniśmy byli według obliczenia spaść na *Sinus Medii*, ale Bóg jeden wie, gdzie się istotnie znajdujemy. Na *Sinus Medii* powinno by już słońce świecić o tej porze. Widocznie spadliśmy dalej ku „wschodowi” - jak na Ziemi tę stronę Księżyca nazywają, gdzie dla nas będzie słońce zachodziło - niezbyt jednak daleko od środka księżycowej tarczy, gdyż Ziemia jest nad nami niemal w zenicie.

Tyle nowych, dziwnych wrażeń odbieram zewsząd, że ich nie mogę zebrać ani uporządkować. Przede wszystkim to niesłychane, wprost strachem przejmujące uczucie lekkości... Wiedzieliśmy na Ziemi, że Księżyc, czterdzieści dziewięć razy od niej mniejszy, a osmdziesiąt jeden razy lżejszy, będzie nas przyciągał sześć razy słabiej, choć się bliżej jego środka ciężkości znajdujemy; ale co innego jest wiedzieć o czymś, a co innego czuć. Jesteśmy już blisko siedmdziesiąt godzin na Księżycu i nie możemy się jeszcze przyzwyczaić do tego. Nie umiemy zastosować wysiłku naszych mięśni do zmniejszonej wagi przedmiotów, ba! nawet własnego ciała. Powstaję szybko ze siedzenia i podskakuję blisko na metr w górę, mimo że się chciałem tylko podnieść. Varadol chciał przed kilku godzinami zgąć hak z grubego drutu, przymocowany do ściany naszego domu. Chwycił go dłonią - i podniósł się cały w górę na dłoni! Zapomniał, że waży teraz zamiast siedmdziesięciu kilku, tylko niespełna trzynaście kilogramów! Co chwilę któryś z nas rzuca gwałtownie przedmiotami, chcąc je tylko przesunąć. Wbicie gwoźdźnia staje się rzeczą prawie niemożliwą wobec tego, że młotek, ważący na ziemi dwa funty, waży tutaj zaledwie sto siedmdziesiąt parę gramów! Pióra, którym piszę, nie czuję prawie w ręku.

Marta powiedziała przed chwilą, że ma wrażenie, jakby się już stała duchem, pozbawionym ważkiego ciała. To jest bardzo dobre określenie. W istocie jest coś nieswojskiego w tym uczuciu dziwnej lekkości... Można by naprawdę uwierzyć, że się jest duchem, zwłaszcza wobec widoku Ziemi świecącej na niebie jak Księżyc - tylko czarnaście razy większy i jaśniejszy od tego, który ziemskie noce rozjaśnia. Wiem, że to wszystko prawda, a wciąż mi się zdaje, że śnię lub znajduję się w gmachu opery na jakiejś dziwnej feerii. Lada chwila - myślę - spadnie kurtyna i te dekoracje się zwiną jak sen...

I o tym przecież wiedzieliśmy dobrze przed wyruszeniem w drogę, że tak Ziemia będzie świecić nad nami, jak olbrzymia, nieruchoma lampa zawieszona wśród nieba. Ciągłe powtarzam sobie, że to rzecz tak prosta: Księżyc odbywa swoją drogę zwrócony ku Ziemi wciąż jedną stroną, a więc ona musi się wydawać nieruchomą patrzącym na nią z Księżyca. Tak, to jest rzecz naturalna, a przecież straszy mnie ten świecący szklany upiór Ziemi, wpatrujący się w nas od siedmdziesięciu godzin nieruchomie i uporczywie z samego zenitu!

Widzę ją przez szybę w zwróconej ku górze ścianie pocisku i rozróżniam gołym okiem ciemniejsze plamy mórz i rozjarzone tarcze lądów. Przesuwają się przede mną z wolna, wyłaniają się po kolei z cienia: Azja, Europa, Ameryka - zwiężają się na krawędzi świetlistego globu i zachodzą, aby znów po dwudziestu czterech godzinach się ukazać,

Tak mi się zdaje, że cała Ziemia zamieniła się w oko rozwarte, bezlitosne i czujne i wpatruje się uporczywie a ze zdziwieniem w nas, którzyśmy od niej uciekli z ciałem - pierwsi ze wszystkich jej dzieci.

W pierwszej chwili po upadku, gdyśmy nieco oprzytomnieli i odśrubowali żelazne pokrywy, zasłaniające okrągłe szyby naszego domku, zobaczyliśmy ją już nad sobą. Była niemal w pełni. Wtedy podobna była do oka szeroko w osłupieniu rozwartego; teraz z wolna zasuwa się na tę straszną, nieruchomą źrenicę powieka cienia. W chwili kiedy słońce, nie poprzedzone świtem, wybuchnie zza skał jak płomienna i bezpromienna kula na czarnym niebie, już się to oko zmruży do połowy, a zamknie się całkiem, gdy słońce stanie prostopadłe nad nami.

W trzy godziny później.

Odwołany do O'Tamora, przerwałem to pisanie, którym zapełniam długie godziny, z konieczności beczynnie spędzane.

Z tą straszną ostatecznością nigdyśmy się nie liczyli, że możemy zostać sami bez niego. Byliśmy przygotowani na śmierć, ale na własną, nigdy na jego śmierć! A tu nie ma ratunku... Tomasz też leży w gorączce i miast chorym się opiekować, sam wymaga opieki. Marta nie odstępowała ich ani na chwilę, zwracając się to do jednego, to do drugiego, a my z Piotrem stoimy bezradni i nie wiemy, co począć.

O'Tamor nie odzyskał przytomności i już jej nie odzyska. Sześćdziesiąt lat z górą przeżył na Ziemi, aby tu...

Nie, nie! nie mogę tego słowa wymówić! To jest straszne! on! na samym wstępie!...

Jesteśmy tu tak okropnie sami w tej długiej, strasznym mrozem przejmującej nas nocy.

Przed paru godzinami Marta, jakby przejęta nagle tym uczuciem bezbrzeżnej pustki i samotności, rzuciła się ku nam ze złożonymi rękami, wołając:

- Na Ziemię! na Ziemię! - i zaczęła płakać. A potem znowu wołała:

- Czemu nie telegrafujecie na Ziemię! czemu nie dacie tam znać? Patrzcie, Tomasz chory!

Biedna dziewczyna! - cóżemy jej mieli odpowiedzieć?

Wie równie dobrze, jak my, że już na sto dwadzieścia kilka milionów metrów przed Księżycem aparat nasz przestał funkcjonować... Wreszcie Piotr jej to przypomniał, a ona, jak gdyby przesłanie wiadomości mogło chorych uratować, zaczęła się domagać natarczywie, aby ustawić armatę, którąśmy wzięli z Ziemi na wypadek zepsucia się telegraficznego aparatu.

Ten strzał, to już teraz jedyny - ostatni sposób porozumienia się z tymi, co tam zostali.

Ulegliśmy obaj z Varadolem i odważyliśmy się na wyjście z pocisku.

Przyznaję, że strach mię zdejmował przed tym krokiem. Tam poza chroniącymi nas ścianami istotnie jest niemal próżnia... Barometr bowiem wykazuje istnienie na zewnątrz nas atmosfery, której gęstość nie wynosi ani trzechsetnej części gęstości ziemskiego powietrza. Okoliczność, że ta atmosfera w ogóle istnieje, chociaż w takim rozrzedzeniu, jest dla nas nader pomyślna, gdyż pozwala nam spodziewać się, że znajdziemy ją na tamtej stronie w dostatecznej do oddychania gęstości. Ach! z jakimż drżeniem serca wysuwaliśmy przed kilkudziesięciu godzinami po raz pierwszy barometr na zewnątrz! Z początku rteć tak gwałtownie spadła, iż zdawało się nam, że się zrównała zupełnie z powierzchnią. Ogromny, zimny przestach ścisnął nas za gardło: to by znaczyło - próżnia absolutna, a z nią śmierć nieuchronna! Ale za chwilę rteć, powróciwszy do równowagi, podniosła się w rurce na 2,3 mm! Odetchnęliśmy swobodniej - choć tym powietrzem tam oddychać nie można!

I mieliśmy teraz wyjść dla ustawienia armaty w tę próżnię! Włożywszy nasze „nurkowe ubrania” i umocowawszy nad karkiem zbiorniki ze zgęszczonym powietrzem na zapas, stanęliśmy gotowi we wgłębieniu znajdującym się w ścianie pocisku. Marta zamknęła za nami szczelnie drzwi od wnętrza, aby wraz z nami nie uciekło stamtąd tak cenne dla nas powietrze, a wtedy myśmy otworzyli zewnętrzną klapę...

Dotknęliśmy stopami księżycowego gruntu i w tejże chwili ogarnęła nas straszliwa głusza. Widziałem przez szklaną maskę na twarzy, że Piotr porusza ustami, domyślałem się, że mówi, ale nie słyszałem ani słowa. Tam powietrze jest zbyt rzadkie, aby mogło głos ludzki przewodzić.

Podniosłem odłam kamienia i rzuciłem go pod nogi. Upadł wolno, wolniej niż na Ziemi i zgoła bez stuku. Zatoczyłem się jak pijany; zdawało mi się, że jestem już rzeczywiście w świecie duchów.

Musieliśmy się porozumiewać na migi. Ziemia, która nas żywiła, teraz świecąc pomagała się nam porozumieć.

Wyjęliśmy armatę, umieszczoną w schowku w ścianie, otwieranym na zewnątrz, i puszkę z materiałem wybuchowym, osobno dla niej przyrządzonym. Ta robota poszła nam łatwo; wszak armata waży tutaj zaledwie szóstą część tego, co ważyła na Ziemi!

Teraz należało tylko ustawione działo dokładnie do pionu nabić, umieściwszy w wydrążonej kuli kartkę; wobec lekkości materiałów na Księżycu - siła wybuchu wystarczy w zupełności, aby zanieść ją po prostej linii na Ziemię. Ale tego nie potrafiliśmy już zrobić. Potworny, ohydny, straszliwy mróz ścisnął nas żelaznymi szponami za piersi. Wszak tu od trzystu kilkudziesięciu godzin słońce już nie świeciło, a nie ma dość gęstej atmosfery, aby mogła przez tak długi czas utrzymać ciepło rozpalonych zapewne w długim dniu kamieni...

Powróciliśmy do pocisku, który się nam wydał rozkosznym, ciepłym rajem, choć tak oszczędzamy paliwa!

Przed wschodem słońca, które ten świat ogrzeje, niepodobna ponawiać próby wyjścia. A tego słońca jak nie ma, tak nie ma!

Kiedyż nareszcie się zjawi i co nam przyniesie?

70 godzin 46 minut po przybyciu na Księżyc.

O'Tamor umarł.

Pierwszego dnia księżycowego, 3 godziny po wschodzie słońca.

Jest nas już tylko czworo. Za chwilę puszcza się w drogę. Wszystko gotowe: pocisk nasz po przymocowaniu kół i ustawieniu motoru zamienił się w wóz, który nas powiezie przez tę pustynię ku krajowi, gdzie będzie można żyć... O'Tamor tu zostanie...

Uciekliśmy od Ziemi, ale śmierć, wielka władczyni ziemskich plemion, przebyta wraz z nami ta przestrzeń i oto przypominała się zaraz na wstępie, że jest przy nas - nielitosna, zwycięska jak zawsze. Uczuliśmy jej obecność i bliskość, i wszechwładztwo tak żywo, jak nigdy tam na Ziemi. Spoglądaliśmy mimo woli po sobie: na kogo teraz kolej?...

Noc jeszcze była, gdy nagle Selena zerwała się z kąta, gdzie w kłębek zwinięta leżała od paru godzin, i wyciągnąwszy pysk ku świecącemu przez okno półksiężycowi Ziemi, zaczęła wyć przeraźliwie. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby podrzuceni jakąś wewnętrzną siłą.

- Śmierć idzie! - krzyknęła Marta. A Woodbell, który czując się zdrowszym, stał znowu przy łóżku O'Tamora, odwrócił się ku nam powoli:

- Już przysła - rzekł.

Wynieśliśmy trupa z pocisku. W tym skalistym gruncie niepodobna wykopać grobu. Księżyc nie chce przyjąć naszych umarłych, jakże przyjmie nas żywych?

Ułożyliśmy tedy zwłoki na wznak na tej twardej księżycowej skale, twarzą ku niebu i świecącej na nim Ziemi, i poczęliśmy gromadzić z rzadka rozsypane po płaszczyźnie kamienie, aby z nich ułożyć mogiłę. Otoczyliśmy ciało niewysokim wałem, nie mogliśmy jednak znaleźć dość dużej płyty kamiennej, aby je przykryć. Wtedy Piotr przez rurę, łączącą nasze głowy i umożliwiającą porozumiewanie się, rzekł:

- Zostawmy go tak... Czy nie widzisz, że patrzy na Ziemię?

Spojrzałem na trupa. Leżał na wznak i zdawał się istotnie szklistymi, rozwartymi oczyma wpatrywać w to oko Ziemi, mrużące się ciągle, ciągle przed blaskiem dla nas jeszcze niewidocznego słońca, które miało wzejść niebawem.

Niech tak zostanie...

Z dwóch sztab żelaznych, ułamków potrzaskanego rusztowania, które nas uchroniło od rozbicia się podczas spadku, zrobiliśmy krzyż i umocowaliśmy go w wale kamiennym nad głową O'Tamora.

Wtem - gdy właśnie ukończywszy smutną robotę, mieliśmy wracać do pocisku - stało się coś dziwnego. Szczyty gór, majaczące przed nami w trupim świetle Ziemi, nagle, bez żadnego przejścia, na jedno mgnienie oka stały się krwawo-czerwone, a potem zaraz rozpląły białym, jarzącym blaskiem na tle wciąż jednakowo czarnego nieba. Podnóża gór, przez kontrast oświetlenia poczerniawszy teraz zupełnie, były prawie niewidoczne i tylko te cyple najwyższe, jak w ogniu do białości rozżarzona stal, wisiały nad nami, powiększając się z wolna, lecz ciągle. Z powodu braku perspektywy powietrznej, umożliwiającej na Ziemi ocenienie

odległości, te jasne plamy zdawały się wisieć na tle czarnego nieba wśród gwiazd tuż przed naszymi głowami, oderwane od podstawy skalistej, która w szarości się zgubiła. Nie śmieliśmy ręki wyciągnąć w obawie, aby nie natknąć palcami na te kawały żywego światła.

A one rosły wciąż przed naszymi oczyma, co sprawiało wrażenie, jakby zbliżały się do nas wolnym, nieubłaganym ruchem; mieliśmy ich już pełne oczy, już, zda się, były tuż, tuż przed nami... Cofnęliśmy się mimo woli, zapominając, że te szczyty są od nas o setki, a może tysiące metrów odległe.

Wtem Piotr obejrzał się i krzyknął. Odwróciłem głowę za jego przykładem i - osłupiałem, uderzony nowym a niesłychanym widowiskiem na wschodzie.

Nad czarną piłą jakiegoś grzbietu górskiego iskrzył się bladawy, srebrzysty słup światła zodiakalnego. Patrzyliśmy w nie, zapomniawszy na chwilę o zmarłym, gdy wtem po pewnym czasie zaczęły u dołu słupa, tuż nad krawędzią widnokregu, błyskać drobne, ruchliwe, skaczące czerwone płomyki, wiankiem obok siebie ułożone.

To słońce wschodziło! z utęsknieniem oczekiwane, upragnione, życiodajne słońce, którego O'Tamor tu już nie zobaczy!

Rozpłakaliśmy się obaj, jak dzieci.

W tej chwili to słońce świeci już nad horyzontem, jasne i białe. Owe, naprzód widziane, płomyki czerwone, to były protuberancje, olbrzymie wytryski żarzących się gazów, które strzelają na wszystkie strony z kuli słonecznej, a na Ziemi, gdzie atmosfera je załsniewa, widoczne bywają tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Tutaj - wobec braku powietrza - zapowiedziały nam ukazanie się tarczy słonecznej i przez długi czas jeszcze co dnia je tak będą zapowiadać, rzucając na chwilę krwawy odbłask na góry, nim się rozjarzą do białą w pełnym blasku dziennym.

Po kilkudziesięciu minutach dopiero na miejscu ruchliwego wianka czerwonych ogników, kiedy już blask spełznął ze szczytów tu w dolinę, biały rąbek tarczy słonecznej ukazał się nam nad widnokregiem; godziny całej potrzebowała ta tarcza, aby się wyłonić całkowicie zza tych skał na wschodzie.

Przez cały ten czas mimo okropnego mrozu zajmowaliśmy się przygotowaniami do podróży. Ale istotnie każda chwila jest droga; dłużej zwlekać niepodobna. Teraz już wszystko gotowe.

Ze wschodem słońca zrobiło się cieplej. Promienie jego, choć tak ukośnie jeszcze padają, grzeją całą mocą, nie osłabione przez pochłaniającą atmosferę, jak to jest na Ziemi. Dziwny widok...

Słońce płonie jak jasna, bezpromienna kula, położona na górach jakby na olbrzymiej, czarnej poduszce. Dwie są tutaj tylko barwy, męczące kontrastem oko nad wszelki wyraz: biała i czarna. Niebo jest czarne i mimo że zrobił się już dzień, zasiane niezliczonym mnóstwem gwiazd: wokoło nas krajobraz pusty, dziki, przestraszający - bez złagodzeń światła, bez półcieni, w połowie lśnącobiały od słonecznego blasku, w połowie zaś zupełnie czarny w cieniu. Nie ma tu atmosfery, która tam na Ziemi nadaje niebu tę cudowną, błękitną barwę, a sama, światłem przesycona, roztopia w sobie gwiazdy przed wschodem słońca i stwarza świty i zmierzchy, różowi się zorzą i zasępia chmurami, przepasuje się tęczą i powoduje delikatne przejścia od światła do mroku.

Nie! stanowczo oczy nasze nie są stworzone do tego światła i tego krajobrazu.

Znajdujemy się na rozległej równinie z litej skały, porysowanej tu i ówdzie niewielkimi szczelinami i powydymanej w obłę, niewysokie, podłużne garby, ciągnące się w kierunku północno-zachodnim. Na zachodzie (wschód i zachód naszego świata oznacza zgodnie z istotnym stanem rzeczy, a więc przeciwnie, niż to widzimy na ziemskich mapach Księżyca), na zachodzie tedy widać niewielkie, ale nadzwyczajnie strome wzgórza, nad którymi w północno-zachodniej stronie króluje niebotyczna, poszarpana piła jakiegoś szczytu. Od północy grunt wznosi się powoli, do znacznej jednak, jak się zdaje, wysokości. Na wschodzie mnó-

stwo szczelin, garbów, wyrw i małych kotlinek, podobnych do dołków sztucznie wygrzebanych; ku południu rozciąga się nieprzejrzana okiem płaszczyna.

Varadol utrzymuje na podstawie pospiesznie dokonanych pomiarów wysokości Ziemi na niebie, że znajdujemy się istotnie na *Sinus Medii*, gdzieśmy według obliczeń spaść byli powinni. Mnie się to jakoś nie zdaje, gdyż szczyty, okalające od zachodu i północy ową płaszczynę, znane z map: *Mosting*, *Sommering*, *Schroter*, *Bodę* i *Pallas*, nie odpowiadają ani rozmieszczeniem, ani wysokością temu, co tu widzimy. Ale ostatecznie wszystko jedno! Ruszamy ku zachodowi, aby posuwając się wzdłuż równika, gdzie według map grunt zdaje się być najrówniejszym, okrążyć kulę księżycową i dostać się na tamtą stronę.

Za chwilę-nic tu już z nas nie pozostanie, kromia grobu i krzyża, oznaczającego po wieczne czasy miejsce, gdzie pierwsi ludzie wylądowali na Księżycu.

Żegnaj mi więc, grobie towarzysza, pierwsza budowla, jakąśmy wznieśli na tym nowym świecie! Żegnaj, martwy przyjacielu, ojcie nasz drogi i niedobry, któryś nas wywiódł ze Ziemi i opuścił na wstępie do nowego życia! Oto krzyż, zatknięty na twojej mogile, jest jakby sztandarem, świadczącym, że Śmierć zwycięska, przybywszy z nami, wzięła już ten kraj w posiadanie... My uciekamy przed nią, ty tu z nią zostaniesz, spokojniejszy od nas, zapatrzony w nieruchomą Ziemię, która cię zrodziła, z krzyżem nad głową, którego wiernym byłeś wyznawcą!

Pierwszego dnia księżycowego, 197 godzin po wsch. słońca. Mare Imbrium, 77° zach. dł., 77°27' pn. szer. księżycowej.

Nareszcie mogę zebrać myśli! Co za straszliwy, bezlitośnie długi dzień, co za straszliwe słońce, zionące ogniem blisko od dwustu godzin z tego bezdenne, czarnego nieba! Dwadzieścia godzin upłynęło już od południa, a ono stoi jeszcze prawie prostopadle nad naszymi głowami wśród tumanu nie przyćmionych gwiazd, obok czarnego kręgu Ziemi w nowiu, obrąbionego płomienną obrączką nasyconej światłem atmosfery. Dziwne jest to niebo nad nami! Wszystko się dokoła nas zmieniło i tylko konstelacje gwiazd są te same, któreśmy ze Ziemi widzieli, ale tu, gdzie powietrze wzrokowi nie przeszkadza, widno tych gwiazd bez porównania więcej. Cały firmament zdaje się być zasianym nimi jak piaskiem. Gwiazdy podwójne błyszczą jak kolorowe punkty, zielone, czerwone lub sine, nie zlewając się w kolor biały, jak na Ziemi. Przy tym tu niebo, pozbawione barwnego tła powietrza, nie jest gładką wydrążoną kopułą; czuje się owszem jego głębię niezmierną; nie potrzeba obliczeń, aby poznać, która gwiazda jest dalej, a która bliżej. Patrząc na Wielki Wóz, czuję olbrzymie odsunięcie w głąb niektórych jego gwiazd w porównaniu z innymi, bliższymi, podczas gdy na Ziemi wyglądał jak siedm ćwieków, wbitych w gładki strop. Droga Mleczna nie jest tu smugą, lecz bryłowatym węzem, wijącym się przez czarne otchłanie. Mam takie wrażenie, jakbym spojrzał na niebo przez stereoskop jakiś cudowny.

A co najdziwniejsza, to słońce wśród gwiazd, płomienne, straszne, a nie zaćmiewające ani najluchszego ze światła niebieskich...

Upał jest straszliwy; skały, zda się, wkrótce zaczną topnieć i rozplýwać się, jak lód na naszych rzekach w piękne dnię marcowe. Tyle godzin tęskniliśmy do słońca i ciepła, a teraz musieliśmy uciec przed nim, aby zachować życie. Stoimy od kilkunastu godzin na dnie głębokiej szczeliny, ciągnącej się od stóp poszarpanych turni *Eratosthenesa* wzdłuż *Apeninu* w głąb *Morza Dżdżów*. Tutaj dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią, znaleźliśmy cień i trochę chłodu...

Ukrywszy się tu, spaliśmy, obozwładnieni znużeniem, przez kilkanaście godzin bez przerw. Zdawało mi się we śnie, że jestem jeszcze na Ziemi, w jakichś gajach zielonych i chłodnych, gdzie po świeżej murawie szemrał rozlany przezczysty potok. Po błękitnym niebie szły białe obłoki, słyszałem śpiew ptaków i brzęczenie owadów, i głos ludzi wracających z pola.

Obudziło mnie szczekanie Seleny, dopominającej się jadła.

Otwarłem oczy, ale rozmarzony snem, nie mogłem długo pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i co znaczy ten zamknięty wóz, w którym się znajdujemy, co znaczą te skały wokół, puste i dzikie? Zrozumiałem nareszcie wszystko i niewysłowiony żal chwycił mnie za piersi. Seleną tymczasem, widząc, że już nie śpię, przyszła do mnie i położywszy pysk na moich kolanach, poczęła się we mnie wpatrywać swymi rozumnymi oczyma. Zdawało mi się, że widzę w tym wzroku jakiś niemy wyrzut... Poglaskałem ją w milczeniu po głowie, a ona zaczęła skomleć żałośnie, oglądając się na szczenięta, igrające swobodnie w kącie wozu. Te szczenięta. Zagraj i Leda, to jedyne istoty, które tutaj są wesole.

A prawda! czasem jeszcze i Marta jest wesola jak małe zwierzątko, ale to tylko wtedy, gdy Woodbell, wciąż niedomagający, wyciąga rękę, aby dotknąć jej ogromnych i bujnych, ciemnobraunatnych włosów. Wtedy jej smagła twarz rozjaśnia się uśmiechem, a duże jej czarne oczy płoną bezbrzeżną miłością, wpatrzone w twarz kochanka, taką męską i piękną jeszcze do niedawna, a teraz zwiędłą i strawioną przez gorączkę. Robi wszystko, aby go rozweselić, aby mu każdym ruchem, każdym spojrzeniem powiedzieć, że go kocha i przy nim jest szczęśliwa nawet tu, gdzie tak trudno być szczęśliwym. Nie mogę się powstrzymać od bolesnej zazdrości, gdy widzę, jak ona pełne, wiśniowe i takie namiętne usta przesuwają po jego wychudłej ręce, szyi i twarzy, jak całuje powieki jego zimnych stalowych oczu, a potem, wzięwszy jego głowę w dłonie, tuli ją jak małe dziecko do piersi o nieskazitelnych liniach i śpiewa mu dziwne, dla nas niezrozumiałe pieśni. Słyszał je pewnie z tych samych tak gorąco całujących ust tam, w jej rodzinnym kraju, na Malabarskim Wybrzeżu i teraz, gdy je słyszy, śnić mu się muszą rozkołysane palmy i szumy błękitnego morza... Ta kobieta przemyciła mu tu w swej duszy cały ten świat, który dla nas przepadł bezpowrotnie.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym ją zobaczyłem po raz pierwszy. Było to właśnie bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości, że Braun się cofa. Siedzieliśmy wszyscy czterej w Marsylii, w hotelowym pokoju, którego okna wychodziły na zatokę, i rozmawialiśmy o tym odstępstwie towarzysza, które nas wszystkich bardzo żywo obeszło.

Wtem doniesiono nam, że jakaś kobieta chce się widzieć z nami natychmiast. Wahaliśmy się jeszcze, czy ją przyjąć, gdy ona weszła sama. Ubrana była tak, jak się w południowych Indiach ubierają córki bogatych krajowców; twarz, nadzwyczaj piękna, miała wyraz na pół zalękniony, na pół stanowczy. Zerwaliśmy się wszyscy ze zdziwieniem, a Tomasz zbladł i przechyliwszy się przez stół, począł się jej bacznie przypatrywać. Ona zatrzymała się u drzwi ze spuszczoną głową.

- Marto! ty tutaj! - krzyknął wreszcie Woodbell.

Postąpiła naprzód i podniosła głowę. Na twarzy jej nie było już ani śladu wahania lub niepewności, rozlała się na niej natomiast iście południowa, namiętna miłość. Powieki opadły jej ciężko na płomienne, czarne źrenice, usta nieco rozchylone i okrągła pełna broda wysunęły się naprzód. Wyciągnęła ręce ku Tomaszowi i odpowiedziała, patrząc mu w oczy spod spuszczonej powiek:

- Przyszłam za tobą i pójdę za tobą, choćby na Księżyc!

Woodbell był błądzący jak trup. Chwycił się dłońmi za głowę i jęknął raczej, niż zawołał:

- To niemożliwe!

Wtedy ona spojrzała po nas, a poznając snadź po wieku, że O'Tamor jest naszym wozem, rzuciła mu się do nóg tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć.

- Panie! - wołała czepiając się jego odzienia - panie, weźcie mnie ze sobą! Ja jestem kochanką tego waszego towarzysza, kocham go, wszystkom dla niego porzuciła, niechże on mnie teraz nie porzuci! Dowiedziałam się, że wam brak towarzysza, i przyjechałam aż z Indii! Weźcie mnie! ja wam kłopotu nie zrobię, służą waszą będę! Ja jestem bogata, bardzo bogata, dam wam złota i pereł, ile zechcecie - ojciec mój był radzą w Travancore na Malabarskim Wybrzeżu i wielkie skarby zostawił! Silna też dosyć jestem, patrzcie!

To mówiąc wyciągnęła śniade, nagie, okrągłe ramiona.

Varadol się zachnął:

- Ależ do takiej podróży trzeba przygotowania! To co innego niż podróż parowcem z Travancore do Marsylii!

Na to ona zaczęła opowiadać, jak w tajemnicy przed Tomaszem nawet odbywała te same ćwiczenia, któreśmy robili, licząc zawsze na to, że się jej w ostatniej chwili uda nas ubłagać, byśmy ją wzięli ze sobą. Teraz tylko korzysta ze sposobności, wykonując zamiar z dawna powzięty. Wie od Tomasza, że tam, na Księżycu, śmierć może znaleźć, ale ona nie chce żyć bez niego! I znowu nas błagała.

Wtedy O'Tamor, milczący od tego czasu, zwrócił się do Tomasza z zapytaniem, czy ją chce wziąć ze sobą, a potem, gdy Woodbell, niezdolny słowa wymówić, skinął głową, położył rękę na bujnych włosach dziewczyny i rzekł powoli i z namaszczeniem:

- Pójdiesz z nami, córko. Może cię Bóg wybrał za Ewę nowemu pokoleniu, oby szczęśliwшему niż ziemskie!

Tak mi żywo stoi ta scena w pamięci...

Ale oto Marta mnie woła. Tomasz znowu gorączkuje, trzeba mu dać chininy.

W dwie godziny później.

Zar, zamiast ustawać, wzmaga się jeszcze. Posunęliśmy się znów głębiej, aby go uniknąć. Póki nie minie, niepodobna nawet myśleć o dalszej podróży. Strach mnie przejmuje, gdy sobie przypomnę, że mamy do zrobienia blisko trzy tysiące kilometrów, nim się dostaniemy do celu... A kto nam zaręczy, że tam będzie można żyć?... Jeden O'Tamor nie wątpił, ale jego nie ma już między nami.

Drogomierz na naszym wozie wskazuje, że przebyliśmy już sto sześćdziesiąt siedm kilometrów; policzywszy czas, wypada po jednym kilometrze na godzinę. A wszak posuwaliśmy się stosunkowo bardzo szybko.

Wyruszyliśmy w cztery godziny po wschodzie słońca, kierując się wprost ku zachodowi. Sądząc, że się znajdujemy na *Sinus Medii*, chcieliśmy się przedostać na płaszczyznę między górami *Sommering* i *Schroter*, a stamtąd, okrążywszy *Sommering* od północy! zachodu, zbliżyć się do równika i wzdłuż niego posuwać się prosto w kierunku pierścienia górskiego *Gambart* i wyższego, dalej ku zachodowi na równiku położonego *Landsberg*.

Grunt był wyjątkowo równy, prawie bez szczelin, toteż wóz posuwał się szybko. Nadzieja i ożywienie wstąpiły w nasze serca; było nam ciepło i lekko - jedynie wspomnienie OTamora zasępiało na chwilę naszą wesołość. Tomasz był zdrowszy, a Marta, widząc to, promieniała radością. Zaczęliśmy na nowo snuć uroczne plany. Droga wydawała nam się niedaleka, trudy niezbyt wielkie. Podziwialiśmy niesłychaną dzikość przepysznego w swej martwocie krajobrazu lub też staraliśmy się z mapą rozłożoną przed oczyma odgadywać naprzód fantastyczne widoki, które nas czekają. Varadol zaczął przypominać wszystkie badania i dowodzenia O'Tamora, według których odwrót na strona Księżyca ma być krajem bynajmniej nie pozbawionym warunków do życia, a ciekawym i wspaniałym nad wszelki wyraz. Rzeczywiście - mówiliśmy sobie -jeśli tam są takie same góry, jak te, które błyszczą się teraz w słońcu przed nami na widnokręgu, a oprócz tego jeszcze zieloność i woda, to warto, zaiste, przebyć trzysta ośmdziesiąt cztery tysiące kilometrów, aby kraj ten zobaczyć! Rozmawialiśmy żywo, a Tomasz i Marta, przytuleni, jak zwykle, całym ciałem do siebie, snuli już różowe plany przyszłego życia w tym raju. Nawet Selena, słysząc ożywione głosy, zaczęła szczełkać radośnie i skakać po całym wozie wraz z rozbawionymi szczeniętami.

Tak upłynęły trzy godziny i przebyliśmy już około trzydziestu kilometrów, gdy wtem Varadol, który z kolei stał przy sterze motoru, zatrzymał wóz. Przed nami wznosił się niewysoki, obły wał skalisty, ciągnący się od południa ku północnemu zachodowi. Wał można było przebyć z łatwością, ale chodziło o oznaczenie dokładne kierunku, w którym się mamy posuwać.

W północno-zachodniej stronie wznosiły się jakieś poszarpane, niebotyczne turnie, któreśmy mieli za szczyty krateru *Sommering*. Krater ów, jak astronomowie na Ziemi tutejsze obrączkowe góry nazywają, wznosi się wprawdzie tylko na tysiąc czterysta metrów ponad okoliczną równinę, podczas gdy te tumie zdawały się nam bez porównania wyższe, ale przypisywaliśmy to łatwemu do wytłumaczenia optycznemu złudzeniu. Zresztą i to przypuszczenie było możliwe, że spadliśmy z naszym pociskiem w południowo-zachodniej części *Sinus Medii*, na płaszczyźnie otwierającej się ku szerokiemu półkolu cyrku *Flammariona*, i mamy teraz po prawej ręce krater *Mosting* o okazałej wysokości 2300 metrów. W każdym razie należało ową górę okrążyć od północy, aby nie zmienić pierwotnego planu. Woodbell radził, aby zrobić jeszcze raz pomiary astronomiczne dla oznaczenia punktu, w którym się znajdujemy, ale nie chcąc teraz tracić czasu, odłożyliśmy tę robotę do pory gorętszej, kiedy będziemy się musieli zatrzymać z powodu zbyt wielkiego upału.

Skierowaliśmy tedy wóz wprost ku północy. Droga stawała się coraz uciążliwszą. Grunt wznosił się z wolna w górę;

tu i ówdzie spotykaliśmy szczeliny, które trzeba było wymijać, lub całe pola z litej skały, podobnej do gnejsu, zasypane luźnymi odłamkami głazów. Posuwaliśmy się coraz wolniej i z wielkim trudem. W kilku miejscach musieliśmy, przywdziawszy powietrzochrony, wyjść z wozu i torować drogę, odwalając zagrażające głazy. Błogosławiliśmy wtedy małą siłę przyciągania Księżyca, dzięki której wielkie nawet odłamy skał mogliśmy z łatwością poruszyć i usunąć. Bawiła nas nawet początkowo ta robota. Każdy z nas, poruszający ogromne bryły, wydawał się patrzącym nań olbrzymem. Nawet Marta nam pomagała. Tomasz tylko został w wozie przy sterze, zbyt był bowiem osłabiony. Ból w ranach ustał, ale gorączka wracała co chwilę.

Posuwaliśmy się tak kilkanaście kilometrów od punktu, gdzieśmy zawrócili ku północy. Mieliśmy po lewej ręce wciąż szereg drobnych i nadzwyczajnie stromych wzgórz, spoza których sterczały olbrzymie i nieprawdopodobnie przepaściste turnie. Przed nami grunt wznosił się ciągle, a z ogromnego wału, jaki tworzył, sterczał jeden ostry szczyt. Na prawo, ku wschodowi, ciągnął się jakiś łańcuch coraz to wyższych gór.

Upłynęło już dwadzieścia cztery godzin od wschodu słońca, kiedyśmy się dostali na gładką płaszczyznę z litej skały, po której można się było szybciej posuwać. Postanowiliśmy się tutaj zatrzymać dla odpoczynku. Przy tym dziwny układ krajobrazu coraz więcej nas niepokoił.

Byliśmy wszyscy już prawie pewni, że znajdujemy się w jakiejś innej okolicy Księżyca, a nie na *Sinus Medii*. Należało nareszcie zrobić dokładne pomiary dla oznaczenia długości i szerokości księżycowej punktu, w którym się znajdujemy.

Po krótkim posiłku wzięliśmy się zaraz do pracy. Piotr nastawił instrumenta astronomiczne. Środek tarczy ziemskiej odchylony był od zenitu o 6° ku wschodowi i 2° ku północy; znajdowaliśmy się zatem pod 6° zachodniej długości i 2° południowej szerokości księżycowej, to znaczy na krańcu *Sinus Medii*, obok krateru *Mosting*. Co do tego nie mogło być wątpliwości, pomiary były bardzo dokładne.

Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej, nie zmieniając kierunku.

Jużeśmy mieli puścić się w drogę, gdy wtem Varadol zawołał:

- A nasza armata! zostawiliśmy armatę! Istotnie, teraz dopiero przypomniał sobie, że armata nasza, jedyny i ostatni środek porozumienia się z mieszkańcami Ziemi, została wraz z nabojem i kulą przy grobie O'Tamora. Śmierć jego i pogrzeb tak nas w chwili wyruszenia oszołomiły, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą tak cennej dla nas armaty. Była to strata niepowetowana, a tym dotkliwsza, że po zerwaniu telegraficznego połączenia to była ostatnia nić, która nas wiązała z Ziemią. Uczuliśmy się nagle tak bezbrzeżnie osamotnionymi, jak gdybyśmy się o setki kilometrów oddalili w tej chwili znów od globu, który jest już od nas o setki tysięcy kilometrów oddalony.

Pierwszą myślą naszą było wrócić i zabrać zostawioną armatę. Obstawiał przy tym zwłaszcza Woodbell, utrzymując, że musimy się porozumieć z Ziemią, aby powstrzymano dalsze zamierzone wyprawy, póki nie damy znać, żeśmy znaleźli tutaj warunki do życia.

- Jeśli my mamy zginąć - mówił - po cóż mają ginąć jeszcze i inni... Wszak wiecie, że tam na Ziemi bracia Remogner są gotowi do drogi. Oczekują od nas wieści telegraficznej, ale nasz aparat nie funkcjonuje. Trzeba ich powstrzymać - przynajmniej do czasu.

Jednakże niełatwo było wrócić. Przede wszystkim wobec olbrzymiej podróży, jaką mamy przed sobą, każda godzina jest dla nas droga, gdyż w razie powtarzanych zwłok zapasy żywności i powietrza mogą się wyczerpać, a wtedy bylibyśmy skazani na niechybną zgubę. I tak z powodu choroby O'Tamora musieliśmy się dość długo zatrzymać, a wiedzieliśmy, że jeszcze nieraz upał lub mróz powstrzymają nas w pochodzie na całe dziesiątki godzin. Po wtóre, któż z nas mógł zaręczyć, że trafimy do miejsca, gdzie armata została.

Varadol starał się usunąć skrupuły Tomasza.

- Wszak bracia Remognerzy - mówił - nie wyruszą w drogę, nie otrzymawszy wiadomości od nas. Zresztą nie wiadomo, czy wystrzelona kula upadnie na Ziemię w takim miejscu, gdzie ją będzie mógł ktoś znaleźć, a zatem depesza bardzo łatwo może nie dojść do rąk, dla których będzie przeznaczona.

Przypomniała się nam i ta okoliczność, że z armaty, zbudowanej wyłącznie dla pionowego strzału, możemy korzystać tylko w bliskości środka księżycowej tarczy, gdzie Ziemia znajduje się w zenicie nad nami. Na strzał paraboliczny z innego miejsca Księżyca siła naboju nie wystarcza, a choćby wystarczyła, to nie mamy sposobu ustawienia armaty tak dokładnie, abyśmy mogli być pewni, że kula, biegnąc po linii krzywej, mimo to nie ominie swego celu, Ziemi. Tak więc powstrzymawszy jednym strzałem dalsze wyprawy, nie moglibyśmy już potem, posunawszy się ku krawędzi widocznej z Ziemi księżycowej tarczy, przyzwać drugim strzałem nowych towarzyszy w razie znalezienia pomyślnych warunków do życia. W ten sposób bylibyśmy skazani tutaj na wieczyste osamotnienie. Tymczasem jeśli się teraz zdarzy, że bracia Remognerzy mimo wszystko przybędą, to przywiozą może ze sobą silniejszy aparat telegraficzny, i tak zyskamy towarzyszy i sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Ziemi.

Te wszystkie względy przemawiały za tym, aby nie tracić czasu na poszukiwanie armaty, w istocie mało dla nas przydatnej. Po krótkiej zwłoce tedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Upłynęło znów dwadzieścia cztery godzin i mieliśmy już około stu trzydziestu kilometrów drogi poza sobą. Słońce stało już 28° nad horyzontem i ciepło wzmagало się ciągle.

Zauważyliśmy przy tym ciekawe zjawisko. Podczas gdy ściana wozu oświetlona słońcem była tak rozgrzana, że parzyła niemal, strona od słońca odwrócona zimna była jak lód. Uczucia mrozu doznawaliśmy także za każdym razem, gdyśmy wjechali w cień jakiegoś cypla skalnego, których coraz więcej spotykaliśmy po drodze. Powodem tych gwałtownych przejść ciepła i zimna jest tu brak atmosfery, która na Ziemi zmniejsza wprawdzie bezpośrednią siłę słonecznych promieni, ale za to ogrzewając się sama, rozprawdza ciepło równomiernie i zapobiega zbyt szybkiemu jego ubytkowi przez promieniowanie.

Z tego samego powodu każdy cień jest tutaj nocą. Światło, w atmosferze nie rozprószone, dociera tylko do tych miejsc, które są wystawione na działanie słonecznych promieni. Gdyby nie refleks rozświetlonych w słońcu gór i światło Ziemi, musielibyśmy za każdym razem, gdy wjeżdżamy w cień, zapalać elektryczne latarnie.

Przebyliśmy już ową pochyłą, gładką płaszczyznę i zaczęliśmy się zwracać ku zachodowi, aby okrążyć domniemany krater *Mosting*. Droga stawała się coraz cięższa i tylko z wielkim trudem i bardzo powoli mogliśmy się posuwać naprzód.

Byliśmy w kraju górzystym i nad wszelki wyraz dzikim. Krajobraz to w niczym niepodobny do alpejskich krajobrazów na Ziemi. Tam wśród grzbietów górskich, łączących ze sobą szczyty, ciągną się doliny, wyżłobione działaniem wody przez przeciąg tysięcy lat; tutaj ani

ślądu tego wszystkiego. Grunt tu cały jest sfałdowany i podniesiony, pokryty mnóstwem nie łączących się ze sobą głębokich kotlin, okrągłych, o wystających brzegach, albo też gładkimi, zupełnie luźnymi kopami, dochodzącymi nieraz do znacznej wysokości. Miejsce dolin zajmują głębokie szczeliny, ciągnące się całymi milami, podobne do cięcia olbrzymiego topom, które w prostym kierunku rozłupało grunt i znajdujące się na nim wzgórza. Nie wątpię ani na chwilę, że są to pęknięcia zastygającej i kurczącej się skorupy Księżyca.

Natomiast nie spotkaliśmy nigdzie ani śladu działania wody, tak przepotężnej na Ziemi erozji. Sądzę też, że ten kraj nigdy nie posiadał powietrza ani wody.

Wobec tego dziwiła nas z początku obecność mnóstwa luźnych głazów, rozsypanych na skalnym podłożu. Ale w kilkadziesiąt godzin później, gdy natężenie upału doszło do granic wprost niemożliwych, przyczyna, krusząca te skały w zastępstwie wody, objawiła nam się sama. Przejeżdżaliśmy właśnie obok wysokiej skały, z kamienia nadzwyczaj podobnego do naszego marmuru, gdy wtem w naszych oczach oderwał się u jej szczytu głaz o kilkunastometrowej średnicy i runął w przepaść, rozbijając się na gruby piarg. Stało się to wszystko w straszliwej, grozą przejmującej cichości. Z powodu braku powietrza nie słyszeliśmy huku, grunt tylko pod naszym wozem zadrgał, jakby się nagle Księżyc zakołysał na swych panwach.

To wściekły ząb słońca odgryzł kawałek tego kamiennego świata. Skały, ściśnione w nocy mrozem jak żelazną obręczą, podczas straszliwego upału dnia rozszerzają się od strony wystawionej na działanie palących promieni. W cieniu ciągle jest chłodno; nierównomierne rozszerzanie się tedy jednolitych bloków musi powodować ich pękanie i kruszenie.

Tymczasem piarg ów ostry, zaścielający ogromne przestrzenie, dał nam się we znaki. Przebywaliśmy takie miejsca, gdzie za pomocą kół wóz nasz nie mógł się zgoła posuwać. Tam zakładaliśmy „łapy”, działające u wozu zupełnie jak nogi u zwierząt, i tak podrzucani nimi, przedzieraliśmy się przez złomiska głazów albo wspinaliśmy się na bystre zbocza.

Mimo licznych prób, dokonywanych na Ziemi z pociskiem zamienionym na wóz, nie mieliśmy wyobrażenia o uciążliwościach podobnej, dłużej trwającej podróży. Jestem przekonany, że gdyby siła przyciągania Księżyca, a co za tym idzie, i ciężkość na nim była tylko o połowę większa, musielibyśmy byli zginać wśród tych skalisk, niezdolni ruszyć się z miejsca.

Upłynęła już od wschodu słońca trzecia ziemską dobą, przez którą posunęliśmy się zaledwie o dwadzieścia kilometrów naprzód. Upał stawał się już nieznośny. W dusznym i rozpalonym powietrzu wozu, wstrząsany wciąż jego ruchami, Woodbell zapadł znów w gorączkę. Rany, otrzymane w chwili upadku pocisku na powierzchnię Księżyca, zaczęły mu znów dokuczać. Szczęście, żeśmy troje przynajmniej wyszli bez szwanku! Dreszcz zgrozy mnie przejmuje na samo wspomnienie owego potwornego wstrząśnienia!

Naprzód, jeszcze w przestworzu, głuchy wybuch min, umieszczonych u dołu pocisku, a mających zmniejszyć chyżość spadku, potem wysunięte jednym naciśnięciem guzika stalowe rusztowanie ochronne i... Nie! to się opisać nie da! Widziałem tylko w ostatniej chwili, jak Marta, przechyliwszy się na swym hamaku, przycisnęła usta do ust Tomasza. O'Tamor zawołał: „Oto jesteśmy!” - i... straciłem przytomność.

Gdym oczy otworzył, O'Tamor leżał we krwi, Woodbell we krwi, Varadol i Marta zemdleni... Z pogruchotanego rusztowania stalowego zrobiliśmy potem krzyż na grobie O'Tamora...

Chronometry nasze wskazywały dziewięćdziesiąt ośm godzin po wschodzie słońca, kiedy upadając ze znużenia i upału, spostrzegliśmy nareszcie, że się zbliżamy do szczytu wyniosłości, na którąśmy się z takim trudem wdzierali. Przez te cztery ziemskie doby, stanowiące mało co więcej niż czwartą część „dnia” księżycowego, spaliliśmy niewiele, postanowiliśmy tedy zatrzymać się jakiś czas dla odpoczynku. Woodbell zwłaszcza potrzebował snu i spokoju.

Wóz ustawiliśmy w cieniu skały, który nas chronił od upieczenia się żywcem w nieznośnych promieniach słońca, po czym ułożyliśmy się wszyscy do snu. Po dwóch godzinach

obudziłem się, pokrzepiony znakomicie. Tamci jeszcze spali. Nie chcąc ich budzić, przywdziałem powietrzochron i wyszedłem sam z wozu, aby zbadać okolicę. Zaledwie wychyliłem się z cienia, doznałem uczucia, jak gdybym się dostał do wnętrza rozpalonej huty. Już nie gorąco, ale wprost żar lał się z nieba; grunt parzył mi stopy nawet przez grube podeszwy powietrzochronu. Musiałem zebrać wszystkie siły woli, aby się nie cofnąć z powrotem do wozu.

Znajdowaliśmy się w płytkiej szyi skalnej, rozdzielającej dwa kopiaste wzgórza z litego głazu i kończącej się wśród nich rodzajem przełęczy, która, o ile mogłem dostrzec z miejsca, gdzie stałem, przechodziła w płaszczyznę, występującą poza owe kopy ku zachodowi. Te kopy zasłaniały mi też widok od północy i od południa. Tylko ku wschodowi widok był rozległy na drogę, którąśmy właśnie przebyli. Patrzyłem na kamieniste pola, pełne kotlin, wyrw, szczelin i szczytów - i wprost nie wierzyłem własnym oczom, żeśmy się przez nie zdołali przedostać z naszym wielkim i ciężkim wozem.

Na Ziemi, przy sześć razy większym ciężarze, byłoby to absolutnym niepodobieństwem.

W tej chwili uczułem, że mnie ktoś trąca. Obejrzałem się: za mną stał Varadol i dawał jakieś rozpaczliwe znaki. Jak ja wyszedł z wozu w powietrzochronie, ale nie wziął ze sobą rury do mówienia, więc nie mogliśmy się porozumieć. Widziałem tylko, że był blady i czymś ogromnie zmieszany. Przypuszczałem, że Tomaszowi zrobiło się gorzej, i pędem pobiegłem do wozu. On poszedł za mną.

Zaledwie, znalazłszy się w wozie, zrzuciliśmy powietrzochrony, gdy Varadol rzekł nachylając się ku mnie:

- Nie budź tamtych i słuchaj: stała się rzecz straszna, pomyliłem się.
- Co? - zawołałem nie rozumiejąc jeszcze, o co mu chodzi.
- Myśmy spadli nie na *Sinus Medii*.
- Więc gdzież jesteśmy?
- Pod *Eratosthenesem*, na przełęczy łączącej ten krater z księżycowym *Apeninem*.

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Wiedziałem ze zdjęć fotograficznych powierzchni Księżyca, robionych na Ziemi, że grzbiet górski, na którym się znajdujemy, urywa się niemal prostopadłe ku położonej na zachodzie olbrzymiej równinie *Mare Imbrium*.

- Jakże my stąd zejdziemy! - zawołałem w przerażeniu.
- Cicho. Bóg jeden raczy wiedzieć. Moja wina. Upadliśmy na *Sinus Aestuum*. Patrz... Tu podsunął mi mapę i kartki zapisane szeregiem cyfr.
- Czy się tylko nie mylisz? - odezwałem się.

- Tym razem nie myślę się, niestety! I tamte pomiary były dokładne, zapomniałem tylko, że wówczas Ziemia nie mogła się znajdować w zenicie ponad środkiem księżycowej tarczy. Wszak wiesz, że Księżyc podczas obrotu naokoło osi podlega małym wahaniom, tak zwanym libracjom, wskutek czego Ziemia nie wydaje się całkowicie nieruchomą na niebie, lecz zakreśla małą elipsę. Otóż ja zapomniałem wziąć poprawki z tego jej wychylenia od zenitu i dlatego oznaczyłem według jej położenia fałszywie długość i szerokość księżycową punktu, w którym robiłem pomiary. Teraz możemy za to wszyscy zapłacić życiem!

- Uspokój się! - rzekłem, choć drżałem sam na całym ciele. - Może się nam uda ocalić.

Za czym wzięliśmy się razem do sprawdzania obliczeń. Tym razem nie było zgola wątpliwości. Po zrobieniu koniecznej poprawki okazało się, że spadliśmy na *Sinus Aestuum* pod 7°35' z. dł., a 13°8' pn. szer. księżycowej. Posuwaliśmy się cały czas wzdłuż stromych wzgórz u stóp olbrzymiego *Eratosthenesa*, mając przed sobą niewielki, lecz nadzwyczajnie bystry krater bez nazwy, tkwiący już w trzonie poczynającego się tu *Apeninu*. Obecnie znajdowaliśmy się pod 11° z. dł., a 15°51' pn. szer. księżycowej.

Oznaczyliśmy sobie ten punkt na mapie Księżyca. Według mapy przełęcz, którąśmy mieli o kilkaset kroków przed sobą, wznosi się 962 m nad poziom *Mare Imbrium*.

Jest to rzecz zadziwiająca, że podczas gdy astronomowie ziemscy mogą z odległości setek tysięcy kilometrów z łatwością obliczyć wysokość każdej góry księżycowej, mierząc w

teleskopie długość cienia, jaki rzuca, my, znajdując się na tej górze, musieliśmy się uciekać do pomocy mapy sporządzonej na Ziemi, aby wiedzieć, jakie jest jej wzniesienie. Brak takiej atmosfery, która by mogła być wzięta w rachubę, uniemożliwiał dokonywanie barometrycznych pomiarów wysokości. Zmiana, jakąśmy zauważyli w barometrze, zasadzała się na tym, że rtęć w rurce opadła tak, iż się zrównała prawie z powierzchnią cieczy w naczyniu. Na tej wysokości, gdzieśmy się znajdowali, była próżnia niemal absolutna.

Tomasz i Marta zbudzili się wkrótce. Niepodobna było ukrywać przed nimi istotnego położenia. Powiedziałem im tedy jak najogólniej, jak rzeczy stoją. Nie wywarło to na nich zbyt silnego wrażenia. Tomasz zmarszczył się tylko i przygryzł wargi, a Marta, o ile mogłem wnosić z jej zachowania się, nie zdawała sobie dobrze sprawy z grozy położenia.

- To cóż - odezwała się - zjedziemy, jakeśmy wyjechali, albo się wrócimy.

Zjedziemy, jakeśmy wyjechali! mój Boże! Wszak to, żeśmy trafili na drogę, która nas tu wywiodła, było czystym przypadkiem! A wracać się? - tyle trudów i tyle godzin straconych?...

Postanowiliśmy wreszcie udać się na ową przełęcz, aby zobaczyć, czy się z niej nie da spuścić na równinę *Mare Imbrium*. Wóz ruszył z miejsca i za kilkanaście minut znajdowaliśmy się nad przepaścią.

Ośłupieliśmy wobec widoku, który się przed nami nagle otworzył. Skała urywała się u nóg naszych niemal prostopadle, a tam w dole, tysiąc metrów niżej, rozciągała się jak okiem zasięgnąć nieprzejrzana równina *Mare Imbrium*, z rozrzuconymi po niej z rzadka szczytami. Brak perspektywy powietrznej sprawiał, że góry, nadzwyczaj nawet odległe, rysowały się wyraźnie naszemu oku, odbijając swą niesłychaną lśnią białością od zupełnie czarnego tła gwiazdzonego nieba. Widok zaiste czarodziejski; na chwilę zapomnieliśmy nawet o grozie położenia.

Na widnokręgu ku północy sterczał przed nami wśród niezmierzonej płaszczyzny, jak wyspa wśród morza, majestatyczny krater *Timocharis*, oddalony od nas czterysta kilometrów, a wysoki na siedm tysięcy stóp.

Na Ziemi góry, z dala widne, przybierają z powodu nieprzeźroczystości powietrza barwę sinawobłękitną; tutaj szczyt ów wyglądał w słońcu jak do białości rozpalona stal z grubymi, czarnymi pasmami cieniów i lśniącymi się czerwono żyłami ciemniejszych skał. Nieco ku zachodowi również wyraźnie szczybiła się na niebie piła niższego odcień i więcej jeszcze oddalonego krateru *Lambert*. Od samego zachodu ograniczały widnokrąg liczne drobne wyniosłości i skały, łączące się z trzonem znacznie nam bliższego łańcucha księżycowych *Karpat*, ograniczających *Mare Imbrium* od południa.

Poza tym łańcuchem, ciągnącym się w kierunku promienia naszego widzenia, od południowego zachodu wznosiły się w dali, na niższych wzgórzach oparte, nieprawdopodobnie olbrzymie turnie *Kopernika*, jednej z największych gór Księżyca. Jeślim powiedział, że *Timocharis* błyszczał jak stal rozpalona, to nie mam już porównania na określenie światła, jakie biło z odległości setek kilometrów od owego potężnego pierścienia skał, mierzącego dziewiedziesiąt kilometrów średnicy!

Na północnym wschodzie sterczały zza licznych wzniesień w niezmiernej oddali same szczyty szerokiego cyrku *Archimedes*a. Widok od wschodu i od południa mieliśmy zamknięty z jednej strony niebotycznym pasmem księżycowego *Apeninu*, z drugiej przepaścistym *Eratoszthenesem*, łączącym się z *Apeninem* przełęczą, na której właśnie staliśmy.

A w tych ramach *Morze Dżdżów*. Jakąż straszną ironią wydała nam się ta nazwa, przez starych ziemskich astronomów wymyślona! Pustynia straszliwa, sucha, zimnoszara, poorana tu i owdzie potwornymi szczelinami, wydęta w lekkie, podłużne garby, ciągnące się od świetnego *Timocharisa* na widnokręgu ku *Eratoszthenesowi*. Nigdzie ani śladu życia, ani odrobiny zieleni! W słońcu tylko, u stóp olbrzymich, odległych kraterów, lśniły się gdzieśgdzie